№ 37. 11. Września 1893

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kornel Ujejski.

Dodatnim objawem w każdem społeczeństwie, a szczególniej w naszem jest samorzutny ruch narodu, który rozważając zasługi mężów czynu i słowa, pragnie uczcić długoletnią ich pracę. Nasi mistrze słowa byli przeważnie i mężami czynu. Jest nim także Ujejski, który nie uchylał się nigdy od żadnej pracy obywatelskiej. Zarówno żywem słowem, jak pismami swemi uczył kilka pokoleń kochać i wierzyć. Czynił to w czasach obudzonych nadziei, a często i wtedy, kiedy ogólny pesymizm przygnębiał umysły najenergiczniejsze.

Dziś, kiedy ogół z zapałem, rzec można, przyjął myśl uczczenia poety w siedmdziesiątą rocznicę jego urodzin, godzi się choć kilku rysami odświeżyć w pamięci jego życie, prace i wartość tych prac.

Kornel Ujejski urodził się dnia 12. września 1823 roku we wsi Beremianach, w powiecie czortkowskim. Wychowany w domu i tradycjach staropolskich, wziął z nich to jedynie, co było piękne. Szedł w świat bez uprzedzeń, stawał do walki z miłością. W wiośnie życia uczuł głęboko nieszczęścia i poniżenie narodu. Pisać zaczął bardzo wcześnie. Pierwsze jego utwory, odznaczające się już siłą niepospolitą, wyszły z pod pióra, gdy miał lat 17. Tak te pierwsze pieśni, jak i późniejsze mówią o ojczyźnie i narodzie. W wieku dojrzałym powiedział sobie: »Prawda tylko jest mistrzynią narodów« i tej prawdzie pozostał wierny.

W czasie pobytu za granicą, w roku 1847, miał sposobność poznać w Paryżu dwóch naszych największych wieszczów, Mickiewicza i Słowackiego. Poetów tych dzieliły pewne nieporozumienia. Ujejski ubolewał nad tem głęboko i uczuciu temu dał wyraz w poemacie pod tytułem »Wieść o Adamie Mickiewiczu«. Po znanych ówczesnych wypadkach i wstrząśnieniach, po roku 1848, gdy reakcja zapanowała wszędzie, powrócił Ujejski do ciężkich zajęć rolnika. Ale mimo zawodów i smutków, których mu los nie szczędził, nie przestawał tworzyć. Nie zrażały poetę ciężkie warunki życia, razili go tylko ludzie bezduszni. Osiadłszy w Galicji, najpierw w okolicy dalszej od Lwowa, przeniósł się następnie do Zubrzy pod Lwowem. Wieś tę dzierżawił od gminy lwowskiej. Trudne tam były warunki gospodarstwa, Ujejski jednak wytrwał. Od r. 1858 słyszymy głos jego coraz częściej. W r. 1860 podobno w miesiącu lutym, zaczął pisywać »Listy z pod Lwowa«, drukowane najpierw w *Dzienniku Literackim*, wydane potem w osobnej odbitce. W »Listach« uderzał naprzód na zaniedbanie grobów Sieniawskich w Brzeżanach, następnie na renegactwo Odyńca, Kirkora i Chodźki, którzy w Aleksandrze II. witali dziedzica Jagiellonów. Nastąpił potem cały szereg krytycznych roztrząsań o Wincentym Polu i jego pracach. W tej pracy krytycznej wytknął poeta Polowi wszystkie odstępstwa, których się dopuścił, przerabiając swoje pisma w chwilach zwątpienia. Ujejski był surowym sędzią, bo był takim i jest dla samego siebie, ilekroć idzie o dobro narodu. Poeta, według niego, nie powinien pisać, gdy zwątpi. W istocie też, w pismach Ujejskiego nikt nie znajdzie nuty pesymizmu. Począwszy od okresu najdawniejszego, od r. 1840 do 1846 odzywa się we wszystkich utworach niespożyta wiara. Jeżeli odezwie się rozpacz, to rozpacz całego narodu, który przecierpiawszy, powstaje silniejszy cierpieniem, z większą wiarą.

Po »Gęśli Jeremjasza«, w którym to utworze czuć jakby zapowiedź przyszłej potęgi Jeremiego, następuje przedziwnej piękności i siły poemat »Maraton«. W pobudce do tego poematu ubolewa autor, że wszystkie drogi okazały się mylnemi, pragnąc więc wlać otuchę i męstwo w serce narodu, postanowił sięgnąć do czynów podmogilnych, postawić za wzór dawnych olbrzymów duchem. Wyśpiewał więc poeta szczytną miłość ojczyzny starej Grecji.

Wkrótce potem straszny cios dotknął cały naród. Ciosem tym rok 1846. Oniemiały w pierwszej chwili z bolu, odzywa się poeta »Skargami Jeremiego« — ale skargami tak głębokiej boleści, że i ci, którzy »skamienieli« musieli się ocknąć. Wszyscy znają »Chorał«, który jest tylko jednym akordem w tych pieśniach niezrównanego piękna i siły, natomiast mało kto, albo nie wielu zastanowiło się nad bogactwem obrazów w tych

pieśniach. W pierwszym ustępie pod tytułem: »Noc natchnienia« znajduje czytelnik zobrazowaną całą Polskę i dzieje jej. Nic także świetniejszego nad zawarty w »Ojcze nasz« rys dziejów ludzkości. Ci, którzy cierpią — a takich większość zawsze i wszędzie, czy mogą zaprzeczyć prawdzie zawartej w słowach:

Patrz ile tu śmiechu, zwątpienia i zgrzytu
Pomiata cierpieniem głębokiem,
Jak życie Twych ludów opaczną szło drogą
Na uździe ciemięzców, pod biczem...

Może mniej zrozumiałem będzie dla dzisiejszych pojęć żądanie poświęcenia, zawarte w słowach:

Wielbiony niech będzie, kto tyle ma męstwa,
Że zamiast zasłonić się zbrodnią,
Sam siebie rozpina na krzyżu męczeństwa,
Sam stos swój zapala pochodnią.

Ale jeźli nie rozumieją tego ludzie, ulegający chwilowym prądom, toż ludzie tacy nie zmieniają czasów, nie wytwarzają prądów, lecz z niemi płyną. Tylko wielkie namiętności i poświęcenia są w stanie wszystko przeobrazić.

Kto to zrozumie, ten pojmie i głęboką myśl poety. Przebaczenie ciemnym, zbratanie z ludem, »co wichrzy się spodem, który się dotąd jeszcze nie nazwał narodem« — jest hasłem w dalszych ustępach. A drogę do tego widzi tylko w wysoko utrzymanej idei wolności tych, którzy już cierpieć umieją i wiedzą, dla czego cierpią. Wzór takiej mocy ducha dał poeta w »Modlitwie więźnia«. Polityczną prawdą, kto wie czy nie na długo jeszcze będzie myśl o bojaźliwych, którzy

Kiedy ich matka z grobu wstaje, wskrześnie,
Oni wołają: Zawcześnie! zawcześnie!
I każą biednej aż do jutra czekać,
A sami będą przed jutrem uciekać.

Któż w życiu publicznem nie widział takich rycerzy? Któż ich dziś jeszcze nie znajdzie?

Niezmierne poczucie sprawiedliwości jest także jedną z cech w pracach Ujejskiego. Poświęcenie, dobro i piękno umie on cenić bardzo nawet w śmiertelnym wrogu swoim. Złożył tego dowód w poemacie »Po latach ośmnastu«, który dedykował Moskalom, uczciwszy dwóch oficerów rosyjskich za ich ludzkie uczucia, okazane ludowi warszawskiemu.

W »Melodjach biblijnych« widnieją postaci jego obrazów, jak wykute z marmuru. Potężniejszego Mojżesza, oburzonego odstępstwem swego ludu, niepodobna sobie wyobrazić. Piękności tej siły, a takiej zarazem powagi nie wykaże żadna literatura. Postawione obok tych, pełnych plastyczności obrazów utwory, tłómaczące nam muzykę Szopena, przedstawiają całą, niezmierną skalę uczuć, począwszy od najgłębszych, a skończywszy na tak subtelnych, jak marzenia wiośniane serc dziewiczych w rozkwicie. Prostota, zespolona z głębią uczucia ludzkiego, to prawdziwe cechy mistrza, to nuta, którą zrozumie każdy człowiek. Takt i nuta bojowa najbardziej jednak przypadała do usposobienia poety. Słychać je nawet w takich obrazkach, jak »Anioł Pański«. Cały to poemat znowu, lubo złożony tylko z sześciu strof. Pragnie poeta, by go złożono do trumny na krwawym puklerzu:

Niech marzę, żem widział konając lud zbrojny,
Zwycięztwem promienny, powagą spokojny...

Znany, bo spopularyzowany na wszystkich estradach koncertowych, mały utwór choć nieraz źle deklamowany, mianowicie »Za służbą« — kogoż nie wstrząsał do głębi? Lud z głodu ginący, na ziemi żyznej i bujnej, straszny to obraz, ale prawdziwy. Mogą sobie ekonomiści i politycy upatrywać jakie chcą przyczyny tego objawu, prawdą wszakże, prawdą niestety, jest ciągle jeszcze to, że ta ziemia jest często macochą ludowi.

Niepodobna w szkicu pobieżnym objąć wszystkich piękności, zawartych w wielu jeszcze utworach Ujejskiego, jak między innemi »Pogrzeb Kościuszki« — czas jednak zwrócić uwagę na fakt, który nie powinien przeminąć bez skutku, a mianowicie na fakt, nad którym ubolewa Ujejski, że naród nie zrozumiał jeszcze Słowackiego. Mimo, iż wiele już zrobiono pod tym względem, można jednak i dziś jeszcze zapytać z Ujejskim »Kiedyż naród te skarby wygrzebie?« Żal ten i to uczucie, jak już wspomniano, wypowiada poeta w utworze »Wieść o Adamie Mickiewiczu«. Ci dwaj równe miejsce zajmują w sercu Ujejskiego. Po przecudnym wstępie, w którym opowiada poeta o prośbie Mickiewicza, wnoszonej do Boga, by mógł raz jeszcze wrócić na ziemię ojczystą, skoro Bóg wysłuchał Adama i spytał: »Gdzie polecisz?« — odpowiada on: »Ach! najprzód do Litwy!« — Opowiedziawszy te wieści z nieba, zwraca się poeta do Mickiewicza i błaga o inną wieść, o wieść o Słowackim:

„Powiedz o Nim — bo jednako ja was kochał obu,
A boleść o waszej stracie poniosę do grobu.“

Zapytuje dalej, czy zapomniane przedgrobne niechęci, czy sobie tam poeci padli w ramiona, czy łzami obmyli wzajemne urazy? Następnie mocarz słowa, duch baranka — jak nazwał Słowacki Ujejskiego — uczcił Juljusza taką z serca zbolałego dobytą strofą:

„Przeszedł chmurny, bolejący, głowę słoniąc połą,
Aby ukryć w fałdach płaszcza swoje nagie czoło
Próżne wieńca, który ledwie upadł mu na trumnę...
Genjusz blasków! duch Tytana! serce wielkie, dumne!

Siewacz skarbów, ciskający klejnoty przed siebie!
Kto je zbierał? kiedyż naród te skarby wygrzebie?
Kto z miłością za nim wodził okiem do ostatka? —
Tylko młodych uczniów kilku, tylko stara matka“.

Nikt zapewne lepiej od Ujejskiego nie mógł zrozumieć Juljusza i nikt pojąć tej dumy i czoła chmurnego, bo i on sam doznał wielokrotnie, jeźli nie obojętności, jeźli nie braku zrozumienia, to pocisków partyjnych. Kiedy w roku 1880 wydał swoje »Obrazki dramatyczne«, odezwała się ..e krytyka, ale uszczypliwe wycieczki partyjne. Niebawem po napisaniu, jeszcze przed wydrukowaniem, miano w teatrze hr. Skarbka przedstawić pierwszy z tych obrazków pod tytułem »Precz!«

Ale namiestnictwo nie zezwoliło na odgrywanie tego utworu na scenie polskiej. Policja zawiadamiając o tem, donosi tylko, że reskryptem z dnia 13. września 1879, nie zezwoliło prezydjum namiestnictwa, bez podania motywów.

W roku następnym wyszły oba utwory »Precz« i »Smok siarczysty« w jednym zeszycie. W utworze »Precz« przedstawia nam autor starą wiarę w odrodzenie ojczyzny, upostaciowaną w majorze z r. 1831 i śliczną postać wdowy młodej, jego córki, a obok tych dodatnich, nowoczesnego pana, który się boi, żeby, gdy się ożeni z zapaloną patrjotką »nie wlazło mu drzwiami i oknem, stare widmo: patrjotyzm«. Na ten temat, zaostrzony spotkaniem z włóczęgą, rozbitkiem z r. 1863 wywiązuje się djalog pomiędzy p. Alfredem a młodą wdową. P. Alfred .apytuje: »Cóż mógł stracić taki bosak?« i otrzymuje odpowiedź wdowy:

To — co wielu bardzo ceni:
On swe życie niósł w ofierze.
On jeden z tych, co rzekł: Wierzę!
Że dziś upadł — gdzie wysocy?!
Wszyscy jesteśmy upadli.
W zachmurzonej, ciemnej nocy
Ledwie kilka gwiazd nam świeci.
Na ich blask sarkamy chętnie,
Bo nam w grzechach przy nich jasno —
Poczekajmy — poczekajmy —
Będzie ciemniej, będzie lepiej!
I te gwiazdy nam zagasną.
Bosak! mówisz pan — bosaki
W czternaście armji wygnały
Nieprzyjaciół z granic Francji.
Bo nie ginie naród taki,
Który wierzy w swe bosaki!

W części drugiej »Smok swatem« — ów włóczęga, rozbitek odradza się, godzi z życiem wśród ciszy leśnej, a poznany przez majora, jako ..n niegdyś jego kolegi, zajmuje się zbliżeniem wdowy do rządcy, który nie jest nawet szlachcicem. Sam smok siarczysty oddał serce prostej dziewczynie, Hance, córce gajowego. Prostota tej dziewczyny, dziecka natury, oddana niezrównanie. Smok podejściem wymógł na majorze, że nakoniec zdecydował się przyjąć dla córki wdowy rządcę za zięcia. Gdy major waha się, gdy go skrupuły dręczą, przypomina mu córka:

„Ja kochałam twego serca
Głosy wielkie — ojcze drogi...
One niosły mnie w błękity
I kazały patrzeć na świat
Z wysokości. Teraz depcesz
Mnie wyniosłą?... Twoja wina!
Trzeba było mnie wychować
Płazem ziemi — nie skrzydlatą!
Pokochałam, — bo był godzien.

Po kilku dramatycznych starciach uczuć różnorodnych, w których duma rodowa, wrodzona manifestuje się u majora, pokonywa on sam siebie i rzecz kończy się błogosławieństwem. Czy obrazki te doczekają się przedstawienia na scenie? Możeby kto pomyślał o tem, tembardziej, że trudno dopatrzeć, w czem dostrzeżono niebezpieczeństwo, zabraniając odegrania wspomnianej części pierwszej.

Oprócz znanych, ogłoszonych drukiem prac, posiada sędziwy autor kilka utworów w tece, a między innemi ustęp poetycki »Judyt« i poemat ludowy »Grzela«. Z przekładów na obce języki, znają Niemcy »Melodje biblijne«, Marsz pogrzebowy i Mazurki Szopena. Czesi posiadają bardzo piękny przekład »Pogrzebu Kościuszki«.

Teofil Szumski.

Opozycja na ostatnim sejmie Rzeczypospolitej.

II.

Na zanotowanie zasługuje fakt, że przed otwarciem jeszcze sejmu Sievers spotkał opozycję tam, gdzie się jej najmniej spodziewał: w łonie związku targowickiego, który do tego czasu bywał posłuszny na każde skinienie carowej. Walewski, piastujący jako zastępca, godność marszałka po odwołaniu Szczęsnego Potockiego do Petersburga, sprzeciwił się stanowczo wskrzeszeniu Rady nieustającej, instytucji narzuconej przez Moskwę po pierwszym rozbiorze, a znienawidzonej przez Polaków i obalonej przez Sejm czteroletni. Ani pogróżki, ani namowy, ani obietnice nie zdołały zachwiać jego postanowienia; Sievers zagroził mu w końcu, że zasekwestruje dobra jego, leżące w kordonie moskiewskim, a Prusacy zajmą posiadłości jego w województwach Sandomierskiem i Krakowskiem, Walewskiemu łzy stanęły w oczach, na oba jednak pytania: czy zgodzi się na turnus (głosowanie)? czy podpisze jako marszałek, jeżeli się stanie wbrew jego woli? bez wahania odpowiedział: nie. A gdy konfederacja wskutek groźnych not ambasadora wyrugowała go ze swego łona, napisał pełną godności protestację, w której powiada, że dwa sprzymierzone mocarstwa zagarnąwszy »w swe posiadanie ogromne krainy Rzeczypospolitej, popierają swe żądania straszną potęgą zbrojną, i co

zakrwawia serce dobrego obywatela, chcą, aby ich żądania były usprawiedliwione właśnie przez tych, których uroczyste przysięgi zmuszają stawiać opór, aby przez uświęcenie postanowień Rzeczypospolitej szkodliwych, krzywoprzysięzcami się nie stali«.[1]) W takim samym duchu napisał swój protest i osławiony Rzewuski, odmawiając stanowczo przyjęcia urzędu wielkiego kanclerza, który mu Sievers ofiarowywał.

Przytoczone powyżej przykłady nie należą do wyjątków: protestowali i usuwali się od piastowanych urzędów wszyscy szlachetniejsi, dzielniejszych charakterów i umysłów ludzie. Sievers otaczać się był zmuszony dla przeprowadzenia swych planów awanturnikami bez czci i sumienia. »Pojmuję, że w tej chwili, kiedy cały świat JW. pana opuszcza, musisz kuć groty z każdego żelaza« — pisze do pełnomocnika Katarzyny Igelström, generał głównodowodzący wojskami moskiewskiemi w Polsce, a dalej nazywa członków wskrzeszonej Rady nieustającej »szulerami, krętaczami i łotrami publicznymi«[2]). »Czasy tak dalece się zmieniły — uskarża się sam Sievers, że mi czterech odmówiło przyjęcie wielkiego kanclerstwa«...

Lekkie trudności, napotykane w przedwstępnych działaniach, nie bardzo psuły krew ambasadorowi. Tak był pewny szybkiego i łatwego zwycięstwa nad sejmem, którego wszyscy — jak mniemał — posłowie za pruskie i moskiewskie pieniądze byli wybrani, że pisał do córek, z któremi się bawił w niemiecko-ckliwą, do obrzydzenia sentymentalną korespondencję: »Sejm zacznie się 17. czerwca, a skończy, da Bóg 30-go. Wtedy wypocznę sobie w Warszawie«. Rzeczywistość okazała się cokolwiek mniej różową od marzeń.

Obaj ambasadorowie, Buchholz, pruski i Sievers, moskiewski, wnieśli na pierwsze posiedzenie sejmowe z dnia 20. czerwca jednobrzmiące noty z żądaniem bezzwłocznego zamianowania delegacji, zaopatrzonej w dostateczne pełnomocnictwa, z którąby mogli rozpocząć układy, ułożyć i zawrzeć traktaty, a następnie przedstawić takowe do ratyfikacji królowi i Stanom zgromadzonym na sejmie.

Noty wywołały wielkie wzburzenie w Izbie. Król nawet oświadczył, że uczynił akces do konfederacji targowickiej na fundamencie aktu carowej, zaręczającego całość kraju i że trwa w zamiarze nie przykładania się w żaden sposób do ustąpienia zabranych prowincji. Posłowie opozycyjni protestowali w pełnych ognia i bólu przemówieniach, przeciwko wyznaczaniu delegacji, pomni haniebnych czynów takiej-że delegacji z czasów pierwszego sejmu rozbiorowego. »Żądać delegacji jest jedno, co żądać rozbioru kraju — mówi Skrzyński — pozwolić na nią jest jedno, co stratę niepowetowaną przynieść

[1]) Z pamiętników Sieversa — str. 165.
[2]) Ibidem — str. 180.

ojczyźnie; wyznaczyć zatem delegacji nie możem, bo są nam hamulcem te święte prawidła, które w źródle nieochybnych powinności czerpa dla siebie Polak«[1]). Służewski woła, że ani srogość zemsty obcych, ani bojaźń utraty majątku, ani śmierć nawet nie mogą zaważyć na szali tam, gdzie chodzi o cześć narodu. Popiera jego wywody Karski, kończąc swe przemówienie słowami: »gdy ginąć mamy gnębieni przemocą, gińmy przynajmniej w oczach świata szlachetnie, gińmy Polakami«[2]). Stoiński na miłość ojczyzny zaklina stan rycerski, aby nie dał się złamać. »Niech odległa potomność ma za przykład, że cnotliwi jej ojcowie pod najokropniejszą przemocą swego szlachetnego nie umieli giąć kolana, zostawując im powody do dźwigania się«. W tym samym duchu przemawiali na kilku następnych posiedzeniach: Jankowski, Ciemniewski, Gosławski, Mikorski, Niezabitowski i inni, wykazując że ani prawa nie mają braci, wolnych obywateli, w obcą niewolę zaprzedawać, ani sami na pozostawionym sobie skrawku ziemi istnienia Polski należycie utrzymać nie zdołają. Do wymówniejszych należy głos Krasnodębskiego z d. 26. czerwca. »Ich (zaborców) siły są wielce ogromne, nasze nadto słabe — mówił szlachetny poseł liwski — oni do nas mówią tonem panowniczym, my w postawie pokornej kłaniamy się, bośmy mali. Usprawiedliwiamy się, bośmy niewinni. Żądamy litości, bośmy nieszczęśliwi. Lecz i zapłakać nam bronno być nie powinno, bo jesteśmy bolejącymi... Lecz sami dobrowolnie na nas, braci naszych i potomków naszych, nie wtłaczajmy jarzma i nie kujmy dla nas kajdan własną naszą ręką. Mus zaczął, mus robi, niech więc mus i kończy. Bądźmy nieszczęśliwi, lecz nie bądźmy podli. Stańmy się przedmiotem litości szczęśliwszych narodów, lecz nie chciejmy być celem wzgardy i szyderstwa Europy.

»Mus utworzył z iązek targowicki, mus kazał nam wcielić się do niego, mus zwołał sejm teraźniejszy, mus obrał posłów na ten sejm grodzieński, mus napisał im w większej części instrukcję i ten sam mus czyli przemoc sejmuje w tej świątyni«. A zachęcając izbę do oporu, zaznacza w dalszym ciągu przemówienia, że nie mają już nic do stracenia: »Rzeką: odejmiemy wam wolność. A wszakże już jej dawno nie mamy. W uściech ona tylko brzmi, a w istocie jesteśmy służalcami obcej woli. Powiedzą: rozbierzemy kraj do ostatka. Tem lepiej dla nas będzie. Będziemy bez oddziału z większą częścią naszych braci płakać i cieszyć jeden drugiego a nie będziemy odtąd siedliskiem intryg możnowładców, miejscem bezrządu i zamieszania oraz narzędziem przemocnej woli każdego z sąsiadujących.«

[1]) Zbiór mów seymu extra-ordynaryinego roku 1793 — t. I., str. 7.
[2]) Ibid. — str. 24.

Wśród sporu i rozpraw upłynęły dwa tygodnie, na które Sejm był zwołany. Sievers, zdumiony oporem, miotał się w bezsilnej złości, widząc, że ani groźby, ani areszty, ani sekwestracja dóbr nie skutkowały i w listach do córek uskarżał się na »kabały tych Polaków, którzy nie warci byli tej ofiary (?), jaką dla nich zrobił.« (!) W Grodnie nazywano opozycjonistów warjatami. Bo i jakże: wszak taki Kresnodębski naprzykład, zamiast mrzeć głodem i zawdzięczać dach nad głową szlachetności ubogiego murarza, Borysiewicza, mógłby mieć wory dukatów na grę w karty, mógłby podziwiać na świetnych balach wdzięki królewskiej kochanki, cudnej, ubrylantowanej markizy Lullie, mógłby brać udział w przepysznych uroczystościach na część ambasadora carowej i wypisywać na przeźroczach: »Vivat Jakób Sievers, co przyniósł spokojność a wolność narodowi polskiemu!“

Głosami zdrajców — wbrew woli opozycji — przeszła na posiedzeniu z d. 1 lipca prorogacja sejmu na dalsze dwa tygodnie. A następnego zaraz dnia Sievers kazał aresztować po domach siedmiu wybitniejszych posłów. Odtąd rozpoczyna się szereg gwałtów ostatecznych z jednej, rozpaczliwego szamotania się z drugiej strony. Posiedzenia sejmowe dają obraz scen burzliwych. Opozycjoniści ciskają w oczy przeciwnikom zarzuty zdrady, wołając: „Zginęła ojczyzna, zgubili ją swoi!“ — wychodzą nie jednokrotnie pod laskę marszałka, żądając sądu na zdrajców....

Gdy dn. 15 lipca upływał ponowny termin. zakreślony sejmowi, ambasador nadesłał piorunującą notę, w której donosił, że dłuższą zwłokę będzie uważał, jako oświadczenie nieprzyjazne i w takim razie roześle „wojska Jej Cesarskiej Mości na egzekucję wojskową w ziemie, posiadłości i mieszkania tych członków sejmu, których znajdzie w opozycji. Ta egzekucja wojskowa rozszerzy się i na wszystkie ekonomje królewskie i na fundusze każdej osoby, zależącej od króla z jakiegokolwiek tytułu. Zabranie dochodów Rzeczpospolitej będzie dalej naturalnem następstwem postępowania sejmu“...

Nota nie odniosła pożądanego skutku: przeraziła wprawdzie króla, ale nie zachwiała opozycją. „Cóż mi mogą wydrzeć? — mówił Stoiński — Majątek i życie? ojczyźnie winienem więcej, a dać jej więcej nie mogę... Niech trupem padnę, przysięgi, nie złamię... ojczyzny nie zdradzę, na złamanie praw nie pozwolę“... Inni posłowie z opozycji przemawiali niemniej gorąco, śmiało, stanowczo...

Posiedzenie z dnia 17 lipca po ponownej prorogacji sejmu było jeszcze burzliwsze. Jedni żądali, aby czekać spełnienia gróźb mężnem sercem, jak senatorowie rzymscy oczekiwali śmierci z rąk Galów, inni wołali: Gińmy! niech nas na Sybir wywożą!“ Ale gdy po długogodzinnej wrzawie i sporach o północy przyszło do głosowania na wniosek Łobarzewskiego, majora wojsk rosyjskich, co do upoważnienia delegacji do podpisania traktatu, nieszczęsny ten wniosek przeszedł 70 głosami przeciwko 20....

Przy ratyfikacji traktatu z Rosją dn. 17 sierpnia opozycja wznieciła raz jeszcze gwałtowną burzę, sprzeciwiając się odczytaniu wniosku. Karski i Krasnodębski wyrywali papier z rąk sekretarza, namiętne okrzyki zagłuszały jego głos. Nie szczędzono też słów prawdy ani królowi ani marszałkowi. Po strasznym dniu i straszniejszej jeszcze nocy — przy różanych blaskach wschodzącej jutrzenki ratyfikacja przeszła 63 głosami przeciw 21.

Tak się skończył pierwszy akt ponurego dramatu grodzieńskiego. Sievers tryumfował, rozsyłając radośne depesze, przedstawiając zasłużeńszych zdrajców do nagród, odczytując wyrazy wdzięczności carowej, powinszowania możnych przyjaciół.... Między innymi Igelström pisał, że ambasador wzniósł sobie marmurową kolumnę w polskiej i moskiewskiej historji. *W. M.*

Miłość.

Napisała **Vilma Sokolova.**

(Dokończenie).

— Dokąd nas wiedziesz? — zapytywano Miłości — i jedni szli z wahaniem, drudzy z ciekawością, inni obojętnie, a mała zaledwie garstka pospieszała ochoczo, bo Miłość nie znalazła jeszcze była klucza do serca tych wszystkich ludzi. Przystanęła nakoniec wraz z tymi, których wiodła, nad brzegiem przepaści i prosząc ich o chwilę milczenia, pochyliła się nad otwartą czeluścią.

— Czy słyszycie? — spytała.

— Z otchłani coraz wyraźniej dolatywał żałobny odgłos dzwonów pogrzebowych, a z dźwiękiem ich mięszał się bolesny płacz dziecięcy.

— To sieroty zawodzą przy trupie matki. Utraciły w niej ostatnią opiekunkę i żywicielkę, albowiem ojciec już przed rokiem odszedł do wieczności. Pozostały opuszczone, same na całym świecie bożym. Niebożątka, dzisiaj serca ich wypełnia jedynie boleść nad utratą matki, a jutro? a później? Kto je nakarmi, przyodzieje? Kto pieczą otoczy ich dusze? Ale słuchajcie dalej, czy słyszycie? — pytała Miłość.

Teraz dolatywały z dna przepaści jękliwe westchnienia, a były tak ciężkie, że zaledwie wzbić się mogły ku słuchającym.

— Tak jęczą pozostawieni na łasce losu chorzy. Nie mają już nikogo ze swoich, obcy zaś nie nachylili serca ku ich nieszczęściu. Nie mają czem zadowolić najgwałtowniejszych potrzeb, a ludzie stronią od choroby, która dręczy ich ciała. Jak dusza pragnie słowa pociechy, tak ciało potrzebuje miłosiernej opieki. Kto, kto da im jedno i drugie?

Zaledwie Miłość skończyła mówić, gdy wzbiło

się w górę z tysiąca piersi błagalne, rozpaczliwe wołanie: „Chleba! Dajcie nam chleba!“ I przez gęstą mgłę, kłębiącą się nad otchłanią łez, można było dojrzeć błagalnie wyciągające się dłonie: były tu drobne dziecinne rączki, niezdolne do pracy, ręce matek, proszących bardziej dla dzieci, niż dla siebie, wychudłe ramiona bezsilnych, których choroba cisnęła na łoże boleści, pozbawiając ich pracy i zarobku, namulone prawice, które pracowały niegdyś ochoczo, z wdzięczną radością, a sięgnęłyby i teraz chętnie po pracę, gdyby ją znaleźć mogły, drżące nakoniec ręce starców, którzy po kłopotliwem życiu nieznużonej pracy, nie mieli teraz miejsca, dokądby głowę mogli skłonić, ani kromki chleba, którąby ich głód zaspokoiła.

Wielu z nich do cieni raczej, niż do żywych ludzi było podobnych. Widocznem było, że wielu drżało z zimna pod nędznem, w łachmany rozpadającem się ubraniem, nadaremnie szukając strzechy, którąby im dała schronienie, ogniska, któreby ogrzało skrzepłe ich członki, osuszyło śniegiem, deszczem i łzami zwilżone ubranie.

Miłość zaledwie mówić mogła ze wzruszenia, wskazując nędzę nieszczęśliwych. Łzy ją dusiły, rwały głos w piersiach.

I znowu rozległo się inne, rozdzierające serce łkanie, i znowu ukazali się nieszczęśliwi innej kategorji. Jednakowe ubranie okrywało mężczyzn i kobiety. Mają jednakowy strój, żywność i mieszkanie, którem jest więzienie. To przestępcy.

— Oh, czytajcie, co ręka losu wyryła w tych obliczach — prosiła łkającym głosem Miłość. — Widzicie tę boleść, żal, rozpacz, co tylu twarzom nadała już nawet wyraz bezmyślności?

— A wiecie co tego oto naprzykład człowieka zaprowadziło w to miejsce pokuty i kary? Nędza. — W domu miał chorą żonę, głodne dzieci, które wołały rozdzierającym serce głosem: „Chleba, chleba!“ Nadaremnie chodził od domu do domu, prosząc: „Dajcie zajęcie!“ Nadaremnie chodził od domu do domu, prosząc: „Dajcie chleba!“ Ręce jego pozostawały wciąż próżne. Nie znalazł się nikt, ktoby w nie włożył pracę lub chleb i tylko do uszu jego wciąż dolatywał nadrywający duszę płacz zgłodniałych dzieci, które miłował niemniej gorąco, jak miłuje dzieci swoje bogacz, mieszkający w pałacu.

Więc gdy nie znalazł miłosierdzia ani pomocy, poszedł i wziął. Czy sądzicie, że twarz jego nie płonęła rumieńcem wstydu, że nogi same się nie cofały, gdy szedł spełniać czyn, którym od młodości pogardzał, ku któremu wstręt wszczepiał we własne dzieci? Czy sądzicie, że ręce nawykłe do zdobywania środków wyżywienia uczciwą pracą, nie drżały z obawy i wstydu, sięgając po cudzą własność?

— Męki wycierpiał, nim się odważył, ale nie mógł znieść, nie mógł patrzeć dłużej na męki tych, których najgoręcej ukochał na świecie. Dla nich dopuścił się grzechu. I gdzie było kochające serce, któreby go ustrzegło przed czynem, za jaki teraz karze go ręka sprawiedliwości?

— A widzicie tę oto kobietę, w której wzroku maluje się osłupienie boleści?

— O, bardziej niż kara i hańba więzienia dręczy jej duszę obraz, który nie opuszcza jej we dnie, a w nocy płoszy sen z powiek. Miała móreczkę malutką, która była jedyną osłodą jej życia. Gdy dziecko patrzyło jej w oczy i uśmiechało się do niej, zapominała, że nie ma domu, że nie ma ani jednego przyjaciela na szerokim świecie. Jak czułaby się szczęśliwą, gdyby mogła wyczarować swej córeczce takie rumiane policzki, jakie widywała u dzieci szczęśliwszych matek, które im mogły dać dostateczne pożywienie! Ale twarzyczka jej dzieciny była blada, bledsza niż kwiat śnieżystego pierwiosnka i uśmiechy zjawiały się na niej rzadko. „Mamulko, daj chleba“ — prosiła, owijając drobnemi, przeźroczystemi rączkami matczyną szyję.

— O, jakich uczuć doświadczała kobieta, gdy brakło jej nawet suchej kromki chleba dla ukochanej córeczki.

Chodziła od zagrody do zagrody prosząc: „Weźcie mię do siebie, a służyć wam będę wiernie, jak pies“.

— A któżby chciał dwie gęby żywić — spotykała ją niezmienna odpowiedź i nigdzie przyjąć jej nie chciano z powodu dziecka. A nie miała komu je powierzyć.

— Przyszła w końcu zima, a jej brakło dachu, pod którymby mogła schronić się z dzieckiem, brakło kęsa chleba, aby się z córuchną podzielić. Mroźny deszcz smagał jej ciało. Szła zataczając się i z trudnością dźwigała na rękach trzyletnie dziecko. „Matulu, dlaczego mi nie dasz choćby kawałka chleba? Tak okrutnie jeść mi się chce!“ — skarżyło się dziewczątko.

— Zaczekaj chwilę kochanie, dojdziemy niebawem do wioski, gdzie dadzą nam jeść — pocieszała matka, choć wiedziała, że do wioski daleko, a do miłosierdzia ludzkiego jeszcze dalej. Dziecko usnęło w jej objęciu, ciężko oddychając, a nieszczęśliwą matkę ogarnęła rozpacz w ten posępny, chłodny wieczór. Myślała, co się dalej stanie z jej dziewczynką, jaki los ją czeka, gdy od urodzenia już musi żebrać, gdy każdy odpędza ją od drzwi, nikt nie chce przyjąć pod dach; co się stanie z dobrem, miłem dzieckiem, które umie tylko tulić się do niej i pocieszać cierpieniem złamane jej serce?

— Nie, nie! córeczka ta jedyna nie powinna zaznać takiego życia, jakiem było moje! Wygodne posłanie ścielę ja dziecinie kochanej. Spać będzie spokojnie i niczego jej nie zabraknie.

I fale jeziora plusnęły i skryły złotowłosą jej pieszczotkę na zawsze. O, jak błagała, jak wołała, aby oddały ją napowrót, skoro tylko odzyskała przytomność, a z nią i świadomość spełnionego czynu. Ale głębina pozostała niewzruszona i cicha, więc szukała w niej i dla siebie samej wiecznego spoczynku. Znaleźli się wszakże ludzie, co ją wy-

dostali z wody i przywołali do życia, a śmierć dziecka przywiodła ją do więzienia.

— Tu znalazła przytułek i chleb, których tak pragnęła dla swej dzieciny, ale nie znalazła spokoju dla duszy. Wciąż widzi złotowłosą, bladą córeczkę, jak wyciąga ku niej rączęta z dna głębokiego jeziora, wołając z wyrzutem: „Matulu!“

— Gdzie były wówczas serca pełne miłości, że pozwoliły kobiecie nieszczęsnej a matce kochającej wpaść w taką rozpacz?

Nagle głos Miłości zagłuszyły klątwy i złorzeczenia, bijące z samego dna przepaści. Zgroza! ile tam było błota, krwi, brudów, a ludzie brodzili w tem wszystkiem, kalając sobie ręce i sumienia!

— Zbrodniarze! — wyrwało się okrzykiem wzgardy i wstrętu z piersi tych, którzy stali obok Miłości nad brzegiem przepaści. A było ich już niewielu. Liczne zastępy od dawna się rozproszyły, Jedni odeszli obojętni, jak zawsze, drudzy ze łzą pod powieką, która jednak oschła natychmiast. skoro bolesne sceny zniknęły im z przed oczu, inni z gniewnem rozdrażnieniem, że opromieniony słońcem dobrobytu widnokrąg szczęśliwego ich życia zaćmiły na chwilę chmury cudzej boleści. Precz z niemi! Oby jak najrychlej zniknęły z widnokręgu i z duszy!

Ale za to ci, co pozostali przy Miłości, tulili się do niej coraz goręcej, serdeczniej. Na ich twarzach malowała się boleść, oczy tonęły we łzach, litość otwierała serca dla Miłości, ale nie otwarła jeszcze do najgłębszych tajników. Na widok zbrodniarzy cofnęli się ze wstrętem. Ale Miłość, stojąca na progu ich serc, nie dała im odejść. Słowa jej tchnęły ciepłem, drżały łzami.

— Obawiacie się ich, chcecie twarz od nich odwrócić, dla tego, że są najnieszczęśliwsi z pomiędzy nieszczęśliwych? Wszak nie znajdzie się chyba człowiek, któryby widząc ślepego, kierującego się ku przepaści, nie starał się go powstrzymać. A tych nieszczęśliwych dotknęła ślepota moralna — ślepota duszy. Gdzie było serce pełne miłości, któreby im zdjęło tę zasłonę z duszy? Gdzie była kochająca dłoń, którąby ich na spadzistości powstrzymała?

— Prześledźcie życie niemal wszystkich tych nieszczęśliwych od pierwszej ich młodości. Czy nad dzieciństwem wielu z nich czuwał anioł stróż w postaci tkliwej, kochającej matki?

— Od pierwszych lat sierocego dzieciństwa spotykały ich same przeciwności i nieszczęścia. Dla innych dzieci wezgłowiem bywa objęcie matczyne, oni nauczyli się wcześnie opierać głowę o twardą, wilgotną ziemię. I twarzy ich nie głaskała pieszczotliwa dłoń matki, lecz smagał wicher, palił mróz.

— Nie posiadąli takiego zakątka — choćby najskromniejszego, któreby mogli nazwać ogniskiem domowem, gdzieby ich otaczali rodzice, bracia, siostry. Niby przelotne ptaki zmieniali miejsce pobytu, a raz naręcze słomy, to znowu bruzda wyorana w ziemi lub bruk miejski były im posłaniem, a strop niebieski dachem.

— Ich serca, od natury niemniej wrażliwe, jak innych dzieci, wydałyby równie obfity plon, jak serca szczęśliwszych rówieśników, gdyby obsiane były dobrem ziarnem, ale ręka miłości nie tknęła żyznego gruntu i padały nań tylko twarde słowa i ciosy, aż pokrył się kamieniami i porósł cierniem.

— I nikt, nikt nie usunął zasłony z ich duszy mówiąc: „Niech się stanie światło w twej duszy! Przejrzyj i poznaj, co dobre, co sprawiedliwe“.

— Kto włożył im w duszę dobro, aby mogli je ukochać? Szli po omacku, w ciemnościach i raz upadłszy, padali coraz głębiej i głębiej...

I usłyszała Miłość oddźwięk swych słów w sercach ludzi, którzy jej nie odbiegli, którzy przy niej pozostali.

— O, spieszmy, nie wahajmy się ani sekundy dłużej! — wołali. — Starajmy się — dopokąd czas jeszcze — dopomódz i ocalić nieszczęśliwych, którzy się znajdują na drodze ku przepaści. Spieszmy i szukajmy dróg, abyśmy mogli wyprowadzić z otchłani ciemności i cierpienia braci, którzy w nią się usunęli! Nieśmy pociechę, pomoc, odkupienie!

I spieszyli szlachetni przyjaciele ludzkości, niosąc swe dary. Ci, którzy posiadali bogactwo, ofiarowywali majątek; ci, w czyich duszach płonęło światło, zapalali pochodnię, rozjaśniając drogę jednym, aby nie zbłądzili, innym, aby mogli wydostać się z manowców ciemności; kto miał zdrowe ręce, dawał swą pracę, kto nie posiadał nic prócz kochającego serca, oddawał to serce, które dokonywało cudów miłości.

Ale otchłań ludzkiego nieszczęścia, nędzy i rozpaczy głębszą jest, niż to się da wyobrazić.

— Kiedy znajdę tyle serc kochających, aby czyny miłości wypełniły ją po brzegi i aby świat cały stał się jedną doliną zadowolenia i szczęścia? — duma nad przepaścią nędzy i rozpaczy Miłość, zwracając błagalny a zarazem pytający wzrok w stronę szczęśliwszych.

Przełożyła z czeskiego za upoważnieniem Autorki

M. Wysłouchowa.

U »LEŚNYCH LUDZI«

napisał

J. H. ROSNY.

(Dokończenie.)

Udać się tam samemu, przedstawić się tam opuszczonym, bez pośrednika, byłoby to wzbudzić ich niedowierzanie; przyczem pomysł cały spełzłby na niczem.

Magne próbował im to wszystko wytłómaczyć. Nie zrozumiano. Spuścił zatem tratwę na wodę, ujął żerdź zamiast wiosła i zaczął pływać, to oddalając się, to zbliżając ku brzegowi.

Wreszcie pojawiło się jakieś nieokreślone jeszcze zrozumienie, prędzej przeczucie jego myśli, jego zamiaru. Jeden z najbardziej inteligentnych gorylów, zdawał się być zdecydowanym do zrobienia próby. Widać było, że wstrzymywała go głęboka obawa wody. Magne schodził i wchodził na tratwę, wykonywał z nią różne ewolucje, starając się wszelkiemi sposobami udowodnić im bezpieczeństwo tej pierwotnej żeglugi. Nakoniec wolno, wahając się, z widocznym strachem, jeden z gorylów wsiadł na tratwę, wykonywając pocieszne ruchy jak dziecko, włażące w zimną wodę.

Wreszcie tratwa przybiła do brzegu. Nim jeszcze zdążył ją przytwierdzić, zobaczył przed sobą gromadę istot wzruszonych, drżących, niecierpliwych.

»Bądźmy spokojni... pomyślał Magne. On już im wszystko sam wyjaśni«.

Rzeczywiście, przybysz zaczął gestykulować. Grupa małp, z bojaźliwą uwagą, milcząc, śledziła jego poruszenia: chude twarze, rozszerzone głodem źrenice, skierowały się ku opowiadającemu gorylowi.

Przyjęto ich tam głośnemi, namiętnemi, frenetycznemi okrzykami radości. Otoczono Magne'a, olbrzymie łapy głaskały go pieszczotliwie, delikatnie, starając się w ten sposób wyrazić swą wdzięczność i przyjacielskie uczucia. Zniknęły pierwotne niedowierzania, pogarda dla białego, tajemniczego zwierzęcia, które zbawiło od pewnej śmierci braci leśnego człowieka.

* * *

Noc zapada. Na skraju nieba ukazuje się rąbek wschodzącego księżyca. Początkowo podobny do przyświecającego krążka czerwonego papieru, stopniowo nabiera metalicznego blasku, najprzód wygładzonego bronzu, który powoli przechodzi w blask roztopionego srebra. Magne leżał nad brzegiem rzeki i marzył. Stał się świętym gościem wielkiego człowieka leśnego, istotą poważaną, podziwianą, której może bezwiednie oddają cześć, jako bóstwu, istocie wyższej od nich o wiele. Może je studjować swobodnie, bez wzbudzenia niechęci i podejrzenia; czuje, jak w głowie jego rodzi się piękne dzieło, które wzrasta w miarę gromadzenia się obserwacji! Ile z tego skorzysta nauka, jak wiele rzeczy nowych dowie się od niego uczony świat obu półkuli ziemskich!

Jego marzenia były pełne dobroci, przesiąknięte uczuciem sympatji: kochał te dzikie istoty za ich dzikość, ich silną obronę przeciw wszystkiemu, co bezpieczeństwu ich rasy zagraża; pragnął znaleść jakiś środek, któryby na zawsze zachował im posiadanie głębin puszczy Kyamo, zabezpieczył od zgubnej znajomości z białym, jego karabinem i jego cywilizacją.

Gubił się w swoich marzeniach; księżyc szybował ku górze, nabierając blasku. Krzyki zwierząt rozlegały się po lesie, zdala szum rzeki wydawał się jakimś potężnym oddechem olbrzyma.

Magne czuł, że go powoli napełnia jasność tak cicha, tak delikatna i przenikliwa jak to światło księżyca, które drżało na liściach drzew i traw okolicznych.

W grudniu roku 188... żołnierz, będący na straży przy Nowym-Metzu — jednym z posterunków francuskich, najdalej w głębi Afryki położonych — zobaczył zmierzającą ku niemu fantastyczną istotę ludzką, ubraną w jakąś tkaninę z grubych włókien roślinnych, koloru suchego tytuniu, z niepomiernie długą brodą i włosami. Istota niosła na plecach coś w rodzaju dużego zwitka papyrusu, przypominającego te, które używano w starożytności.

Na krzyk żołnierza, który go wziął za nowy gatunek rodzaju ludzkiego, przybysz odpowiedział:

»Jestem obywatelem francuskim!... Proszę o gościnność«.

Szyldwach dał znak; zjawił się oficer i pozostali żołnierze posterunku. Obcy powtórzył żądanie i natychmiast żądanie jego spełnionem zostało.

Na liczne pytania nieznany człowiek odpowiedział:

»Jestem Magne... podróżnik naturalista... dajcie mi coś pić... umieram z pragnienia!«.

Wzmocniony posiłkiem, złożonym z chleba, paru fig, suszonej ryby i wina, zaczął opowiadać zebranym dzieje swego pobytu w głębinach puszczy. Opowiadał o swych wędrówkach po nieznanych, pustych i dzikich miejscowościach. Mówił, jak uciekał przed dzikiemi plemionami, zamieszkującemi te ziemie; sto razy stał już w obliczu śmierci, którą mu grozili i ludzie, i zwierzęta, i surowa przyroda.

Nie wspomniał jednak nic o głównej rzeczy: o swoim pobycie i przygodach w głębinach puszczy, u małp z Kyamo. Milczał o tem, jadąc z Nowego-Metzu do Paryża, milczał dalej, będąc już w Paryżu, i byłby może nigdy i nikomu nic nie wspomniał, gdyby nie coraz usilniejsze poszukiwania, coraz to nowe odkrycia, w sprawie poznania miejscowości wnętrza Afryki. Wiedział, że to, co on widział, podane do wiadomości uczonego świata, będzie pierwszym krokiem w kierunku wytępienia jego czwororękich przyjaciół z puszczy Kyamo. Poznał jednak w końcu, że milczenie do tego celu nie prowadzi, czuł, że lepiej będzie — w interesie samych gorylów — jeżeli ogłosi światu owoc swej pełnej przygód wycieczki. Był przekonanym, że wymowa jego i dowody skłonią ludzi do oszczędzania mieszkańców Kyamo. Oto, powód dla którego Magne napisał wspaniałe dzieło: »Badania nad czworęcznemi zwierzętami puszczy Kyamo.«